

Czerwiec Paweł

Prawdziwa historia o prawdziwych rycerzach

Z „Science Fiction”

W poprzednim odcinku:

Dwóch wyrażających się nader kwieciście i skorych do bitki barbarzyńców odprowadziło znaną wśród traw księżniczkę do domu. Ponieważ nikogo to nie ucieszyło, obaj czmychnęli czym prędzej z miasta, tym bardziej, że księżniczka znowu się gdzieś zapodziała. Jedyńm zyskiem z całej awantury było złoto подарowane bohaterom przez księcia oraz nabyta przez nich od księżniczki umiejętność wyrażania się nieco mniej kwieciście.

Ale że jeden z barbarzyńców wzbogacił się przy okazji o mocny stosunek emocjonalny względem księżniczki, nasi bohaterowie ruszyli tropem powtórnie zaginionej pannicy.

Rzecz całą nieco utrudnia osobiste zaangażowanie w nią tajemniczego i mrocznego maga Vidoczka.

1.

Zbliżała się jesień i dzień coraz mniej chętnie wstawał nad Przełęczą Wiśni, najurokliwszym zakątkiem Gór Winietu. Rzeka Sądu, która tu osiągała dopiero rozmiary nieco większego strumienia, spływała ze wzgórz i po raz pierwszy zwalniała odrobinę swój bieg, jakby niespieszno jej było do czekającej w dolinach dorosłości. Mieniała się złoto, srebrnie i błękitnie, tworzyła pierwsze, niewprawne zakola i jeszcze droczyła się z kamieniami, tocząc je nurtem wcale blisko powierzchni. A jednak już tutaj zaopatrzone ją w most, właściwie kładkę, zbudowaną chyba tylko dla dodania powagi pannicy mającej zasłużyć w ciągu kilkuset kilometrów na tytuł Królowej Rzek.

Budowla spinająca dwa brzegi strumienia stworzona została najwyraźniej przez budowniczych pozbawionych możliwości pobierania nauk u słynnych czy choćby po prostu wyedukowanych architektów. Ktokolwiek zbudował mostek, wiedział tyle tylko, że powinien się on zaczynać na jednym brzegu, kończyć na drugim i nie chybotać za bardzo. Zbudował więc dzieło nie pozbawione polotu, z pewnością użyteczne i posiadające nawet pełen urok, bliższe jednak raczej symbolowi mostu niż rzeczywistej powadze budowli mającej ułatwiać ludziom przeprawę.

Niemniej symbol to czasem aż nadto.

– Powiedz swojemu, że nie ma mowy! – wrzeszczał pryszczaty wyrostek stojący na wschodnim brzegu strumienia. Długie, jasne włosy opadały mu na twarz, zmuszając go, by odruchowym, z lekka nerwowym ruchem odgarniał je co chwila.

Jego rudowłosy odpowiednik na brzegu zachodnim uniósł wzrok, by spojrzeć na posepnego jeźdźca, któremu odmówiono prawa do przejazdu.

– Panie, on mówi...

– Słyszałem. Powiedz mu, że w takim razie rozstrzygnie walka.

– Panie...

– Powiedz mu!

Rudy westchnął. Godnie reprezentującą kolor włosów twarz obsianą miał piegami, usta przesadnie, niemal dziewczęco czerwone, a przy tym szerokie. Kiedy otwierał je do krzyku, wydawało się, że prawie

przesłaniają i piegi, i zadarty nos, i nawet jasnoniebieskie oczy.

– Pan mój – wrzasnął, aż góry zadrżały – Ringweid z Siwego Lasu, syn Arlinga Złotowłosego, pana Sowiego Krzyku, żąda po raz ostatni, byś mu, panie, drogi ustąpił albo rozstrzygnął spór ten w walce, jak rycerzowi przystoi. Walczyć możecie konno lub pieszo, na naszym lub też waszym brzegu, albo i na moście, jako wolicie!

– Ja wiedziałem, że to się tak skończy – westchnął blondyn, niewysoki i krępy. – Panie?

Jego rycerz, wysoki i chudy jak szczapa, przymknął oczy i uniósł twarz ku porannemu niebu, jakby u niego szukając porady. Zajął mu to chwilę, ale wreszcie musiał usłyszeć jakąś odpowiedź, bo rzekł:

– Powiedz mu, Strawik, że drogi nie ustąpię, póki w nim rycerza znaczniejszego i godniejszego nie uznam. A że nie uznaję, to musimy się potykać. Spotkamy się tedy na środku mostu, pieszo, lecz w pełnych zbrojach, w blasku swych barw. Potykać się zaś będziemy, póki się jeden z nas za pokonanego nie uzna lub nie legnie.

Strawik westchnął teatralnie i zawołał:

– Pan mój, Borgerd z Pastuszej Góry, rzecze...

– Słyszałem – przerwał mu rudy. – Dyc ten strumyk nie ma dwóch skoków, wszystko słyshać.

– Zamilcz! – zganił go rycerz Ringweid. – Niegodnie to odpowiedzi nie wysłuchać! Mów, pacholku!

– Giermku! – warknął rozeźlony Borgerd. – Nie obrażaj waść mego sługi!

– Najmocniej przepraszam. – Ringweid pochylił się w siodle. – Wybacz mi, młodzieńcze, jeśli twój godności uchybił.

– A gdzie tam! – Machnął ręką rozpromieniony Strawik, ale zaraz zgarbił się pod spojrzeniem swego rycerza i odpowiedział jak trzeba:

– Przeprosiny wasze, panie, przyjmuję, bo wiem, żeście nie ze złej woli to powiedzieli i ujmy nijakiej uczynić żeście mi nie chcieli.

– No! – sapnęli równocześnie usatysfakcjonowani rycerze. Strawik, bardzo z siebie zadowolony, wygłosił odpowiedź pana Borgerda. Pomógł mu się przebierać w zbroję, niesioną przez znużonego sytuacją, ale szczęśliwego, że mu ujęto ciężaru, osła. Dwadzieścia zwrotek przebierali się rycerze, szykując do pojedynku, ale wreszcie stanęli naprzeciw siebie w godnych zbrojach, dzierżąc krótkie miecze i tarcze herbowe. Na jednej prężył się dumnie jelen w zielonym polu, z drugiej szczyrzyła wiewiórka.

Rycerz Borgerd, spod znaku jelenia, aż przystanął na ten widok.

– Nosisz waść w herbie wiewiórkę? – zapytał.

– To nie wiewiórka – burknął tyleż niechętnie, co niewyraźnie Ringweid.

– Aha. Tom się musiał zmylić. Wybaczcie.

Rycerz Ringweid wybaczył. Poczynili ku sobie trzy kroki, z których ostatni postawili już na moście, kiedy Borgerd nie wytrzymał i zapytał:

– A co to w takim razie jest, jeśli nie wiewiórka?

– Tajemnica – wycedził przez zaciśnięte zęby Ringweid, mający już po same uszy powtarzającej się ciągle sytuacji z pytaniem o stwora na tarczy. Gdyby mu honor nie zabraniał, zrezygnowałby dla świętego spokoju z jakichkolwiek w ogóle pojedynków.

Ale przecież wyjeżdżając z domu, poprzysiął ojcu i braciom, że nie wróci, póki tak ich rodzinnego herbu nie rozstawi, że nikt się już z niego naśmiewać nie ośmieli. Ojciec pokiwał nawet głową, choć nigdy mu tajemnica rodzinna nie przeszkadzała, ale chętnie się dwunastego, najmłodszego syna z domu pozbywał.

– Tajemnica? – zawołał Borgerd, opuszczając miecz. – Wybaczcie, panie, ale nie mogę pojedynkować się z kimś, kto przede mną swój ród ukrywa i znaczenia znaku nie chce wyjaśnić. Ja, na ten przykład, od razu mogę wam powiedzieć, iż jelen w moim herbie wziął się stąd, iż czterysta lat temu...

Strawik ziewnął. Siedział na trawie obok giermka Ringweida i dzielił się z nim plackiem jęczmiennym i kawałkiem szynki, za co otrzymał w zamian kubek miodu.

– On tak zawsze. Nie ma pojedynku, żeby nie opowiadał tej historii z jeleniem – wyjaśnił.

– Ale to ciekawa historia! – odparł rudy, który, jak się Strawik dowiedział, nosił imię Rijka. – Te smoki i tury...

– Ech, może i ciekawa za pierwszy razem, ale jak jej w kółko słuchasz... Ty, patrz, teraz twój podchodzi do mojego i coś mu szeptem.

– No. Że jak mu powie, co znaczy ten herb, to go będzie musiał zabić.

– Co ty, poważnie?

– No.

– I zabije?

– Już paru zabił.

– O żesz! To dopiero świetne! Taka tajemnica! A ty wiesz, co ten herb znaczy?
– Zwariowałaś? Jeszcze mi życie miłe! W ogóle nie chcę wiedzieć!
– Tak nic a nic?
– Wcale.
– Dziwny jesteś. Ja to bym się chciał dowiedzieć... O, patrz, już się leją!
– No. Dobry ten twój. Ma cios!
– A jak się twój szybko zasłonił! Kto by pomyślał, taki grubasek...
– Przyganiał kociół garnkowi.
– Ty, chcesz się bić?
– Nie. Prawdę ci powiem, że jak szedłem z domu za panem Ringweidem, to myślałem, że to będzie przygoda mojego życia. W domu miałem ośmiu braci i dziewięć sióstr, nie przelewało się. To poszedłem na służbę do rycerza, w bitwach uczestniczyć... Ale już mi te bitwy zbrzydły.
– A byłeś w jakiej?
– We dwóch. Nawet zbroję mam po takim jednym dzikim, co go usieknę. Pokazać ci?
– Jeszcze pyta! No pewnie!
Zerwali się i pobiegli ku koniom juczym, kompletnie ignorując swoich okładających się mieczami panów. Rijek chwalił się egzotyczną zbroją, w której najbardziej cieszyły go dołączone nie wiadomo po co dzwoneczki, kiedy padł na nich niespodziewanie cień. Zaskoczeni chłopcy unieśli głowy. Z wysokości potężnych koni przyglądało im się dwóch ponuro wyglądających mężczyzn. Jeden z nich ubrany był jednolicie na czarno, drugi zaś w zlachmanione pstrokate szaty, kiedyś zapewne będące eleganckimi.
– To wasi? – spytał czarny głosem ciężkim i mrocznym. – Wasi tak się leją?
Przytaknęli równocześnie.
– A o co?
– Bo... – Strawik przełknął ślinę. Tych dwóch obcych nielicho go przestraszyło. Wyglądali na wojowników zaprawionych w bojach, zupełnie nie przypominali przy tym rycerzy. Strawik widywał takich, kręcących się po zamkach i zajazdach, szukających krwawej roboty za garść srebra. Zawsze wydawali mu się odrażający, brudni, źli. – Bo zacy rycerz Borgerd z Pastuszej Góry i pan Ringweid z Siwego Lasu nadjechali o poranku z dwóch różnych stron ku mostowi i żaden drugiemu drogi ustąpić nie chciał...
– Mówisz więc, że biją się o prawo do przeprawy? – zapytał pstrokaty jeździec, podjeżdżając do strumienia.
Strawik przytaknął.
– Przez to? – upewnił się pstrokaty, wjeżdżając do strumyka. Woda ledwie zakrywała jego wierzchowcowi kopyta.
Czując się nadzwyczaj niewyraźnie, Strawik poszukał wzrokiem pomocy u Rijka. Pod kąpiącym spojrzeniem pstrokatego przekonanie chłopca o słuszności poczynań rycerzy zaczynało chwiać się w posadach.
– Bo tak nakazuje honor! – bąknął. – Bo jakże to ustąpić miejsca mniej godnemu...
– A kto mu każe ustępować? – wzruszył ramionami pstrokaty. – Mógł przez rzekę przejechać. Długo by się brodu nie naszukał.
– Nic, widzę, nie wiecie o honorze! – zawołał niespodziewanie zapalczywie Rijek.
– Ano, chyba nie – zgodził się pstrokaty – Widzisz, Buhaj, jak się zachowują znaczni? Jeden w drugiego wariaci. Jedziemy!
Choć jednak strumyk był tyleż szeroki, co głęboki, pstrokaty nie dotarł na drugi brzeg. Powstrzymał go głos towarzysza:
– Stój, Kwoka! Chyba nie ustąpisz im miejsca?
Zaskoczony Strawik spojrział na czarnego. Niesamowite, ale ten uśmiechał się szeroko.
Kwoka zawrócił konia. Podjechał do przyjaciela, z trudem opanowując chęć strzelenia go w ten wyszczerzony pysk. Przedtem chciał się dowiedzieć, co go rozśmieszyło.
– A niby czemu miałbym się tym przejmować? – zapytał, wietrząc podstęp.
– Bo ty teraz jesteś znaczny! To chyba musisz się bić, nie? O ten most.
Kwoka zerknął odruchowo za siebie, gdzie panowie Borgerd i Ringweid zwarli się właśnie i przepychali z jednej krawędzi mostka na drugą. Deski trzeszczały pod ich stopami, wieszcząc niebezpieczeństwo.
– Bić to ja się mogę... – powiedział powoli Kwoka i może właśnie przez tę zamierzoną powolność nie dokończył.

Trzeszczenie za jego plecami zmieniło się bowiem w głośny trzask, z jakim nie budowany przecież do pojedynków most przełamał się w pół.

– Olaboga! Potopią się! – zawołał Rijek, widząc rycerzy szamoczących się bezwładnie w rzeczce niczym pstrągi wyrzucone na brzeg.

Obaj sładzy pobiegli ratować swych panów przed niechybnym utonięciem, a kto wie – może i zardzewieniem. Kwoka i Buhaj odprowadzali ich wzrokiem.

– Można by teraz pożyczyć od nich te koniki – zasugerował wyższy i czarniejszy. – Zanim się te łążęgi podniosą.

– Znaczone. Zmarnowalibyśmy czas, próbując je sprzedać.

– Szlachetni panowie! Szlachetni panowie! – dobiegło ich wołanie Strawika – Pomóżcież nam, bo sami rady dać nie możemy!

Kwoka parsknął śmiechem, ale skierował konia ku mokremu zamieszaniu pośrodku strumienia.

– Chcesz im pomóc? – zdziwił się Buhaj.

– To rycerze, oni się wszyscy znają nawzajem. Mogą coś wiedzieć o tym tam... Czarnym Rycerzu.

– Czarniawym – poprawił Buhaj gniewnie. – Czarny jestem tylko ja!

2.

Gdy sładzy doprowadzali zbroje do porządku, rycerze schli pogodnie nieopodal brzegu, popijając wino z zapasów Kwoki i wysłuchując jego historii.

– Tak więc powiadacie, panie, że mag przebiegły księżniczkę waszą uprowadził i wy jej na ratunek spieszycie? – upewnił się Borgerd.

Kwoka skinął niechętnie głową.

– Wielce to szlachetne! – zawołał Ringweid, który nie mógł poszczycić się mocną głową, łatwo też wzruszał się romantycznymi historiami. Głównie dlatego, że jemu żadna się do tej pory nie przytrafiła.

– Wielce szlachetne – zgodził się Borgerd, dla odmiany zyskujący z każdym łykiem wina na cynizmie. – Wybaczcie mi jednak, ale, choć to pewnie wynik mego nieobycia w świecie, na rycerzy mi nie wyglądacie.

Matka Kwoki opowiadała mu różne rzeczy o jego pochodzeniu. Gdyby wierzyć każdemu jej słowu, miałby za ojca co najmniej tuzin książąt. Rozważał, czy nie powołać się na matczyne świadectwo, kiedy uprzedził go Buhaj.

– Książę rzekł, że nas pasuje, gdy mu drugi raz córkę zwrócimy.

– Tedy rozumiem wasz zapał. – Pokiwał głową uspokojony Borgerd, ignorując oburzone spojrzenie Ringweida. – Na drodze do pasa rycerskiego stoi wam teraz Czarny Rycerz?

– Czarniawy! – warknął Buhaj.

– Prawda, mówiliście. Ale ja nie o kolorze szat myślałem, jeno o duszy.

– Tym bardziej!

Borgerd przyglądał się Buhajowi długo a uważnie. Coś tam sobie w głowie pododawał i uznał za stosowne przeprosić.

– Rzecz w tym, że mag Vidoczek mieszka w otoczonej stromymi, niepokonanymi skałami dolinie.

Wiedzie do niej jedna droga, a ta zagrodzona jest wysokim, czarnym murem, pośrodku którego wznosi się Czarny Zamek. W nim mieszka pilnujący szlaku Czarniawy – wyjaśnił Kwoka. – Szukamy sposobu, by go przekonać, aby nas przepuścił.

– Trudne to będzie – westchnął Ringweid – bo Czarny... Czarniawy Rycerz magowi Vidoczkowi służy. Taka jego kłątwa.

– Kłątwa? – nie zrozumiał Buhaj.

– Nic, widzę, o magu i jego sładze nie wiecie. Na Czarnym Zamku i jego panu ciąży kłątwa Vidoczka. Każdy, kto chce przejść, a sługą lub przyjacielem maga nie jest, musi pokonać Czarne... Czarniawego Rycerza.

– Da się zrobić – mruknął Kwoka.

– Niestety. – Potrząsnął głową Ringweid. – On, wiedząc o zadaniu waszym, wyzwania nie przyjmie, tym bardziej, żeście nie rycerze. Musielibyście we dwóch zamek zdobywać, a to wam się przecie nie uda.

A jest jeszcze i jedna rzecz. Każdy, kto Czarne... Czarniawego Rycerza pokona, jego kłatwę przyjmuje i Vidoczkowi zmuszony jest służyć. Taki czar nałożył mag na zamek i na rycerza.

– Za dobrze to nie wygląda – mruknął Buhaj. – Może niech nas Baba Jaga zamieni w coś latającego albo co?

- Jest sposób – odezwał się Borgerd. – Widzi mi się mniej od czarów rozpaczliwym.
- Ile? – zapytał Kwoka, który i myśleć, i oceniać ludzi potrafił szybko i trafnie.
- Widzi mi się, że jeden – odparł rycerz Ringweid, nie posiadający umiejętności logicznych Kwoki, ale rozumiejący, o czym mówi Borgerd. – Oto Czarniawy Rycerz raz do roku opuszcza Zamek, by stanąć w szranki w turnieju organizowanym przez kasztelana Miromiła. Sławny to turniej i wielu dzielnych rycerzy zjeżdża się na niego, by swych sił spróbować, nagrodę kasztelana zdobyć, a i z Czarniawym Rycerzem się zmierzyć.
- Tak się spieszą do kłatwy? Dlaczego?
- Bo to świetna posada – odpowiedział szybko rycerz Borgerd, zanim Ringweid zdążył palnąć coś szlachetnego. – Dostaje człowiek zamek i sługi i wielkiemu panu służy. A i sława go otacza. Każdy, komu los majątku poskapił, chce skorzystać. I tu wracamy do waszego, panie Kwoko, pytania. Otóż ja, rycerz Borgerd z Pastuszej Góry, chętnie dla was, panowie, pokonam Czarniawego Rycerza, przedtem słowo rycerskie wam dawszy, że przez bramę Czarnego Zamku was przepuszczę. Jeno aby do turnieju stanąć, trzeba mieć na wpisowe, a ono niemałe.
- Ile? – powtórzył Kwoka.
- Trzydzieści groszy. A to tylko za walkę zbiorową, bo jak kto chce jeszcze do pojedynków stanąć, dziesięć groszy dopłacić musi.
- Czyli w sumie czterdzieści groszy – upewnił się Kwoka.
- Właściwie – odezwał się ośmielony winem Ringweid – osiemdziesiąt. Zważcie, że jeśli we dwóch będziemy się starali dla was Czarniawego Rycerza zabić, bardziej możliwym to się staje.
- Chodźmy na chwilę na bok – mruknął Buhaj mało wesołym tonem.
- Odeszli na kilka kroków.
- Zabijmy ich obu – zaproponował Buhaj. – Zabierzmy im konie, zbroje i tarcze z herbami, stańmy do turnieju i zabijmy Czarniawego jako jelenia i wiewiórkę.
- Kuszące – przyznał Kwoka. – Jest tylko jeden feler.
- Jak mi powiesz, że to niegodne...
- Kłątwa. Chcesz się zamienić w Czarniawego? Niech wezmą osiemdziesiąt groszy i go zatłuką. Buhaj potrzebował chwili, by to przemyśleć. Wreszcie, bardzo z siebie zadowolony, znalazł lukę w rozumowaniu przyjaciela.
- A jak go nie zatłuką?
- Zatłuką. Ty wiesz, jak wygląda turniej?
- Biją się? – spróbował odgadnąć Buhaj.
- Toś trafił! Rzecz w tym jak się biją. Pierwszego dnia stają naprzeciwko siebie w drużynach i leją się jak w prawdziwej bitwie. A wiesz ty, jak to w bitwach – łatwo o wypadek. Jak staną we dwóch, to łatwo im będzie Czarniawego od tyłu zająć i rzecz załatwić.
- Wiewiórka nigdy się na to nie zgodzi.
- Ale jelenia tak. Niech więc wiewiórka się z Czarniawym honorowo tłucze, a jelenia zajdzie tamtego od tyłu i po sprawie. Zresztą ze swojej części tego, cośmy od księcia dostali, zapłacę. Nic stratny nie będziesz!
- No! – oburzył się Buhaj. – Żadne takie! Spółka to spółka, potem mi części łupu odmówisz.
- Buhaj! – Oczy Kwoki zabłyśły gniewnie. – Żebyś wiedział, że ci odmówię!
- Takiś?
- To ty takiś?

* * * * *

- Jak tak na nich patrzę, to myślę, że jednak jest w nich coś szlachetnego – rozmarzył się Strawik. – Może to rycerze w przebraniu?
- Obserwowali kotłowanie rąk i nóg, w jaką przemieniła się dyskretna rozmowa Kwoki i Buhaja. Wyglądało to zupełnie inaczej niż pojedynki ich panów. Jeszcze nigdy nie widzieli, żeby rycerz rycerzowi próbował, na przykład, odgryźć nogę albo wsadzić palec do oka.
- Czy ja wiem? – zastanawiał się Rijek. – Ani nic do siebie nie krzyczeli przedtem, ani jeden drugiemu nie cisnął w twarz rękawicy... Zupełnie bez zasad się biją.
- Ciekawe o co?
- Jak rycerze, to o honor. Jak nie rycerze, to o niewiastę.
- A to nie jedno i to samo?
- Strawik, ty młody jeszcze jesteś, co?

- Znalazł się, pryszczaty waśniak!
- Lepiej uważaj, serdelku!
- Ty, może ten herb z wiewiórką to od twoich włosów? I zęby masz też jakieś wielkie i krzywe...

* * * * *

- Oni chyba dają zły przykład naszym giermkom – rozważał rycerz Borgerd, widząc, jak dwaj chłopcy wzięli się za łby.
- Młodzi są, niech się biją. – Wzruszył ramionami rycerz Ringweid, na próżno próbujący wycisnąć z dzbana choć kropelkę wina więcej.
- Ale to przyszli rycerze. Nie powinni bić się jak prostytutki, bez żadnej etykiety. Zabijać się trzeba z wdziękiem.
- Mówisz tak waść, bo wasz przegrywa.
- Mój przegrywa? Mój?! Przegrywa, bo wasz oszukuje!
- Mój oszukuje?
- A tak!
- To mi przypomina – powiedział powoli rycerz Ringweid, wstając – żeśmy jeszcze nie rozstrzygnęli, który z nas powinien drugiemu miejsca ustąpić. A już wygrywałem...
- Wyście wygrywali?!
- A nie? Prawie was z mostka wyparłem.
- Jaki pan, taki kram – mruknął rycerz Borgerd, niby pod nosem, ale wystarczająco głośno, by słowa te doszły uszu rycerza Ringweida.
- A co takiego macie na myśli? – zaperzył się natychmiast wojownik spod znaku nie-wiewiórki.
- Że wiem, od kogo wasz sługa nauczył się nieczystych sztuczek!

* * * * *

Południe zastało ich poobijanych. Wszystkich sześciu.

3.

Miropole, gród, którym sprawnie zarządzał kasztelan Miromił, wznosiło się dumnie, acz życzliwie na łagodnym, zielonym wzgórzu zwanym Polianną. Ludzie w grodzie żyli sympatycznie, z optymizmem przyglądający się światu, w każdym wydarzeniu upatrujący czegoś dobrego. Z ich wrodzoną pracowitością znakomicie współgrał fakt, iż w Miropolu spotykało się tyle szlaków handlowych, że nawet najsprawniejsi kupcy gubili się czasem w ich płątaniu, docierając niezupełnie tam, gdzie planowali. Kasztelan dbał przy tym o bezpieczeństwo dróg, dobrze wiedząc, że to właśnie handlowi zawdzięcza swój dostatek i powodzenie. Gród przypominał zbiorowisko targowisk przedzielonych wąskimi granicami domów. Zajmowały je głównie magazyny i warsztaty co znacześniejszych rzemieślników. Jedynie na samym środku pyszniły się ratusz i siedziba kasztelana. Zwyczajne domostwa przycupnęły pod wysokim murem chroniącym gród i na strzeżonym mniejszym murem podgrodzium. Tam ściągający zewsząd na turniej pomniejsi handlarze powołali do życia dwa dodatkowe, rywalizujące ze sobą targowiska. Pomiędzy nimi krążyły przybysze, przede wszystkim młodzi chłopcy wykrzykujący głośno miana swych sponsorów: a to kowala Siemartycza, a to płatnerza Wijdarły, który przybył do Miropola zaprezentować swe wyroby. Osobne miasteczko powstało wokół pola turniejowego przygotowanego u stóp wzgórza, na rozległej, jak na górzystą okolicę, równinie. Tam też rok rocznie przywracał do życia wielką, z kamienia budowaną gospodę „Pod Czarnym Mieczem” jej obecny właściciel, Karko Wiśnionosy. Liczący dwieście lat z okładem budynek gotów był pomieścić na wieczery i stu znacześniejszych gości, sługi ich zaś rozmieścić można było bez trudu na ławach poustawianych na zewnątrz. Co szczęśliwsi i zamożniejsi panowie wynajmowali też u Karko pokoje, reszcie pozostawało rozbić w pobliżu namioty. Ani rycerz Borgerd, ani Ringweid nie posiadali namiotu. Z przykrością odkryli, że wszelkie okoliczne szopy, komórki, a nawet chlewki zostały już dawno wynajęte, pobliski zaś lasek niemal doszczętnie wykarczowano, przerabiając drzewa i krzewy na szałas. Obecnie przy resztkach lasu czuwała dniem i nocą straż kasztelańska, Miromił był bowiem człowiekiem ogromnie czującym na piękno przyrody.

Na wzgórzu naprzeciw grodu wyrosło dwie noce wcześniej ogromne drzewo o czarnej korze i poskręcanych gałęziach pozbawionych liści. Za sprawą magii Vidoczka, a dokładniej magicznych czarnych ziaren jego produkcji, pojawiało się ono wszędzie tam, gdzie Czarny Rycerz chciał wzniesić obóz. Rijek i Strawik przyglądali się drzewu z rozwartymi ze zdumienia ustami, ich panowie raczej z zawodową ciekawością. Co do Kwoki i Buhaja, to ten drugi rozglądał się za dziewczętami, a pierwszy oceniał wzrokiem potencjalnych przeciwników rycerzy, którzy mieli wkrótce reprezentować go w turnieju. Znalazł dwóch, którzy wydali mu się podejrzani. Pierwszego z nich jednak jeszcze przed zmrokiem wtrącono do wieży jako oszusta, drugi zaś nadział się siedmiokrotnie na własny miecz podczas wieczornej toalety. Kwoka, który z żadnym z tych zajść nie miał nic wspólnego, dowiedziawszy się o obu wypadkach dopiero wieczorem, podziękował swojej szczęśliwej gwiazdzie i wpadł w doskonały humor. Ten minął mu jednak jak ręką odjął, gdy zobaczył na własne oczy Czarnego Rycerza.

A że stało się to dopiero, gdy heroldowie odtrąbili początek turnieju, niewiele mógł już zrobić. Kasztelan Miromił podziękował wszystkim zebrany, fanfary zagrały, panie niższego stanu zaczęły pisać, zaś panie wyższego stanu mdleć pokazowo. Gruchnęły cztery dziesiątki zawołań rycerskich i dwa oddziały ruszyły na siebie, inaugurując pierwszy dzień turnieju.

Pod zieloną chorągwią szarżowali na przeciwników rycerze Ringweid i Borgerd. Naprzeciw nich stanęło dziewiętnastu ludzi pod chorągwią czerwoną oraz człowiek-góra w czarnej zbroi pod czarnym proporcem.

Strawik prawie zapomniał oddychać z zachwytu. Spoglądał na różnobarwnie przybranych rycerzy, jednych chronionych za ledwie lamelkami z ponaszowanymi żelaznymi wzmocnieniami, innych w solidnych kolczugach, wszystkich jednak dumnych, pewnych siebie i wspaniałych. Tłum napierał na niego i ryczał. Chłopak dawał się ponieść temu dziękmu, nieopanowanemu entuzjizmowi, jakby wichrowi unoszącemu go poprzez szranki na pole walki.

Patrzył, jak rycerze ruszyli ku sobie. Ze wzniesionych za kłębiącym się tłumem trybun dobiegło Strawika jakby jedno potężne westchnienie, a potem zakrzyknęli rycerze i rozkrzyczał się tłum. Ich głosy jednak, chłopak przestał słyszeć, gdy dwa oddziały zderzyły się ze sobą w eksplozji huku i zgrzytu.

Rijek przymknął powieki, gdy uderzyła w niego chmura pyłu wniecona przez wierchowce. Kiedy otworzył oczy, dostrzegł tuż przed sobą kłębowisko ciał i stali. Wybrali ze Strawikiem najlepsze miejsce. „Będzie jak w bitwie!” – powtarzał uszczęśliwiony sługa rycerza Borgerda.

* * * * *

Nie było jak w bitwie. W bitwie, Rijek dobrze to pamiętał, wrzask jest jeszcze bardziej ogłuszający. Ludzie krzyczą jak bestie, konie kwiczą jak demony i chyba nikt nie jest sobą – wszyscy zmieniają się w ruchome, rozwrzeszczane plamy. Ale czas płynie wolniej i doskonale widzisz tego szaleńca w bambusowej zbroi, jak gna ku tobie, a cała jego twarz jest jednym wielkim rykiem. Błyszczą nad nim te dziwne wielkie oczy. A potem czujesz na twarzy krew, bo twoja ręka wyprowadziła cios, w którym całe ciało ułożyło się tak, jak uczył cię twój pan. Nie wiesz jeszcze, czyja ta krew, czujesz tylko, jaka gorąca. Potem on upada i ty upadasz, ale ty wstajesz. Krzyczysz i biegniesz ku następnej rozmazanej plamie. A czas płynie wolno i jedne rzeczy widzisz zdumiewająco, nienormalnie wyraźne, inne jakby istniały tylko mimochodem.

Tutaj nikt nie próbował nikomu przegryźć gardła i tylko tłum wył jak tamci szaleni dzicy. Nie miało to nic wspólnego z bitwą, w każdym razie Rijek nie czuł tu bitwy. Spróbował odnaleźć rycerza Ringweida i już, już prawie mu się udało, kiedy czarny olbrzym przestonił mu niespodziewanie cały widok. Kwoka nie miał problemu z odnalezieniem wśród walczących wynajętych przez siebie rycerzy. Starali się przebić ku Czarnemu Rycerzowi, przy czym wiewiórka robił to z irytującym zachowaniem wszelkich reguł, rzucając wyzwania w samym środku bitewnej zawieruchy, pochylając się nad pokonanymi i coś im tam wywrzaskując do uszu. Jeleń dla odmiany tylko ryczał z uciechy, gdy jego koń wspinał się na tylne nogi i wykopywał przeciwników z siodeł. Kwoce zdecydowanie bardziej odpowiadał styl jelenia, choć i tak nie potrafił pojąć, o co w tym wszystkim chodzi. Mordowanie na oczach gapiów uważał za skrajną głupotę. „Kiedy zabijasz otwarcie, zabijaj wszystkich – powtarzał mu jego pierwszy nauczyciel, Gruby Ol – inaczej wśród tych, których pozostawisz przy życiu, zawsze znajdzie się jakiś mściciel i będzie ci uprzykrzał życie”.

Ulubionym sposobem walki Grubego Ola było podrzynanie gardeł śpiącym. Technika owa okazywała się niezawodna, aż do pewnej pechowej nocy, gdy jedna z potencjalnych ofiar czy to śniła jakiś paskudny sen, czy też wykazała się nieprzyzwoitą czujnością, dość, że złapała Grubego Ola za wielkie łapsko,

uratowała własne życie i podniosła krzyk. „Czmychaj!” – krzyknął Gruby Ol i Kwoka czmychnął posłusznie, dzięki czemu mógł potem udać się w dzień targowy do miasta Brychn i podziwiać, jak mieszczanie sprawiedliwie wieszają jego nauczyciela ku uciesze gawiedzi. Ponieważ był wtedy młody i głupi jak, nie przymierzając, szlachetni panowie, miał ze sobą łuk i miecz gotowe do walki i awanturniczej próby odbicia przyjaciela. Jakimś cudem Gruby Ol odnalazł go wzrokiem w tłumie i, marszcząc brwi, pokręcił głową, jeszcze raz wykazując niezwykłą znajomość Kwokowego charakteru. Kwoka zamarł, tymczasem Gruby Ol, korzystając z prawa do ostatniego słowa, zawołał:

– Jedno, czego chcę, to żebyś, durna pało, zapamiętał to, czego cię uczyłem! Żadnych, kurwa, pokazów i bohaterstw! Podrznaj gardła, gdy śpią, chłopcze! A teraz patrz, jak zdychają nie dość ostrożni, i niech to będzie dla ciebie lekcja!

Kwoka, który nałożył już przeznaczoną dla kata strzałę na cięciwę, poczuł wstyd. Chciał coś powiedzieć, ale wtedy Gruby Ol, już z pętlą na szyi, zawołał:

– Cisza, gówniarzu! Cisza jest najważniejsza!

Kwoka nie powiedział więc już nic.

I teraz też milczał, przyglądając się przede wszystkim Czarnemu Rycerzowi. Musiał przyznać, że drań znał się na swojej robocie. Ciekaw był, co sądzi o tym wszystkim Buhaj.

Buhaj sądził, że turniej ma swoje dobre strony. Spośród nich najbardziej podobała mu się ta w błękitnej sukni, siedząca obok jakiegoś wypłosza w czymś, co mogło nawet przypominać zbroję, z pewnością jednak nią nie było. Chyba że wypłoszowi znudziło się życie. Czarniawemu poświęcił Buhaj jedynie rzut oka. Ot, kolejne durne panisko. Ale błękitna...

Błękitna miała w sobie coś, czego nie potrafił nazwać. Błękit sukni pogłębiał kolor jej oczu, które raz tylko spotkały się z Buhajowym spojrzeniem i zignorowały zupełnie. Kompletnie natomiast nie ignorowały pełnych zuchwałości spojrzeń wypłosza, toteż Buhaj obiecał mu szybko to i owo. A choć nie do końca rozumiał pojęcie honoru, pewnego rodzaju przyrzeczeń dotrzymywał zawsze.

Za jego plecami trwał bój o mienie i chwałę. Wraz z zadanymi ciosami z rąk do rąk przechodziły zbroje i triumf. Wojownicy dowodzili swego męstwa, zadając ciosy bądź je przyjmując. Kobiety piszczwały i mdlały, chłopcy pokroju Strawika oddawali się marzeniom, ci podobniejsi raczej Rijkowi zaczynali się zastanawiać, a Kwoka planował i oceniał szanse.

Buhaj miał to gdzieś. Mimochodem wykręcił rękę jakiemuś złodziejaskowi. Po chwili dobiegł go zduszony krzyk, gdy temu samemu pechowcowi wykręcał rękę Kwoka. Na to też nie zwrócił uwagi. Odesłał kopniakiem sprzedawcę czegoś, co wedle skrzekliwych zapewnień miało być kiełbaskami, bo przesłaniał mu widok.

Błękitna udawała zainteresowanie turniejem, większą uwagę poświęcała jednak wypłoszowi. Coś wyszczebiotała. Błękit w oczach Buhaja na chwilę zalała czerwień furii. Zawarczał i nagle wokół niego zrobiło się pusto. Ruszył ku wypłoszowi, ale w tym właśnie momencie błękitna wstała i klasnęła w dłonie. Tłum zaczął wiwatować i tylko Kwoka ryknął:

– No żesz kurwa ich jebana mać!

Buhaj zrozumiał, że pierwsze starcie turnieju dobiegło końca, gdy błękitna zasłoniła usta, tłumiąc udawane ziewnięcie, i pod opieką wypłosza ruszyła ku wyjściu.

Jakiś nieszczęśnik stał stanowczo zbyt blisko Buhaja. Pisnął, gdy ten wykręcił mu rękę.

– Ta w błękitnym. Kto to jest?

– Ale panie, ja nie wiem, ja przejezdny, ja... aaaaaa! Niech mu ktoś powie, na litość! Ta w błękitnym! Kto to?

– Olianna, córka Irlenda Czerwonego – pomógł pechowemu przechodniowi Kwoka, który zawsze starał się wiedzieć wszystko o wszystkich. Przyglądał się swemu przyjacielowi poważnie. – Puść go, Buhaj, mamy kłopot.

– Taki znaczny z tego czerwonego? A ja ci powiem...

– Oderwij na chwilę wzrok od cyczków i spójrz za siebie.

Głos Kwoki nie należał do takich, którym się odmawia. Z drugiej strony Buhaj nie był jakimś tam wypłoszem.

Dlatego tylko zerknął.

Na polu bitwy leżało trzydziestu dziewięciu rycerzy, część z nich oddychała, część niekoniecznie. Konie, które jakimś cudem wyszły z walki bez szwanku, pochylały łby nad swoimi panami.

Ku jednemu rycerzowi, który stał, leciały już wieńce, zdobne chusty, a nawet i monety.

Nie interesowały go. Ani kwiaty, ani kolorowe chusty nie pasowały mu do czerni zbroi.

– Czarniawy – mruknął Buhaj. – A cóżes myślał? Załatwimy go po naszymu. Ale najpierw...
Gdy Rijek i Strawik biegli ku swoim pojękującym panom, on ruszył za błękitną.

4.

Borgerd i Ringweid pojękiwali zgoła nie po rycersku, leżąc wśród zdeptanych traw i poddając się z lekka tylko wprawnym zabiegom medycznym swych giermków. Rycerz Borgerd, pomijając dziesiątki sińców i nacięć, cierpiał z powodu złamanej lewej nogi oraz ręki, podczas gdy rycerz Ringweid na odwrót.

– Zawiedliśmy was, panie! – wystękał Ringweid, starając się nie zerkać na to, co Rijek wyprawiał z jego kończynami. – Tamten to demon wcielony! Pieniądze wasze zwrócimy wam, oczywiście...

– Jak tylko jakie zdobędziemy – dokończył pospiesznie Borgerd. – Co teraz zrobicie? – Skrócę skurwiela o głowę – odparł Kwoka głosem bardzo pewnym siebie.

Obecnie najbardziej zastanawiało go, dokąd polaził Buhaj i w jakie kłopoty wpakują się w wyniku jego wycieczki. Czarniawy bił się nieźle, ale jednak stanowczo zbyt uczciwie, by móc sprostać Kwoce. Natomiast chuć Buhaja mogła sprowadzić im na głowę potężne problemy.

– Nie może to być! – zawołał Ringweid – Przecie wtedy kłątwa na was spadnie!

– Buhaj zatłucze czarodzieja, to i będzie po kłątwie – wzruszył ramionami Kwoka, ani sobie sprawy nie zdając, jaki zachwyty wzbudził tymi słowami u Rijka i Strawika. Oto ich oczom ukazał się prawdziwy bohater, którego nic nie przerażało i dla którego wszystko było proste. Jest jakiś problem? To się go zabije. Takie podejście ujęło chłopców.

– Nie dacie rady – odezwał się Borgerd. – Czarny Rycerz...

– Czarniawy! – upomniał go w zastępstwie przyjaciela Kwoka.

– Jak by go nie zwał – zezłościł się Borgerd, któremu akurat zapatrzony w Kwokę Strawik brutalnie przekreślił nogę – będzie z dużym pocztem wracał do zamku, więc go w drodze nie dostaniecie.

A w zamku to on będzie już całkiem poza waszym zasięgiem!

– Więc muszę go utłuc tutaj. Na turnieju. Jutro druga walka drużyn. Ten wasz zielony książę szuka nowych zawodników, bo ich wielu stracił w pierwszym starciu. To się zgłoszę i ubiję Czarniawego zgodnie ze wszystkimi regułami.

– Nie może być! – zawołał ponownie Ringweid. – Boście nie rycerz!

– A kto o tym wie?

– A my! – Uniósł się honorem rycerz spod znaku nie-wiewiórki.

– To się dobrze składa, bo wy akurat jesteście mi coś winni. Powiedzmy, że zapomnę o długu, a wy zapomnicie, że nie rycerz.

Rycerz Borgerd pokiwał na taką propozycję ochoczo głową, jednak Ringweid głową potrząsała. Zaraz też posłali sobie niechętnie spojrzenia.

– Ja sprawę waszą rozumiem – rzekł Ringweid. – Miłość to rzecz wielka i szlachetna, ona wam blasku dodaje. Ale jeśli staniecie w turnieju, honor jego i całego rycerstwa zbrukany zostanie. Nie może to być!

– Dureń! – syknął Borgerd.

Ringweid tymczasem skinął na Rijka. Ten pomógł mu wstać.

– Klękniście, panie Kwoko – zażądał, chwiejąc się lekko na nogach. Twarz pobieleła mu z bólu.

Kwoka, który klękał niechętnie, posłał mu mało życzliwe spojrzenie. W porównaniu jednak ze spojrzeniem Borgerda mogło ono uchodzić za całkiem sympatyczne.

– Czyżes oszalał?! – zawołał wzburzony rycerz. – Pasować go chcesz? Ty???

– Pod Widłowym Wzgórzem, gdy Parenkowie dopadli Księcia Firziłła, prosty rycerz Urchill pasował na rycerzy chłopów z pobliskiej wsi – odparł spokojnie, choć przez zaciśnięte z bólu zęby, Ringweid. – Mogę i ja. Nowa to moda, że na rycerzy jeno moźni pasować mogą, drzewiej inaczej bywało. Klękniście, panie Kwoko, bo nie wiem, ile mi sił starczy, zaraz omdleć mogę.

– Klękniście, panie! – poprosił Rijek. – Taki honor! Taki honor!

I Kwoka, sam z siebie trochę się śmiejąc, ukląkł przed chudym jak szczapa, kredowobiałym na twarzy rycerzem spod znaku nie-wiewiórki, biednym jak mysz świątynna, lecz za to egzaltowanym jak wschodni smok. Pochylił głowę, trochę w udawanej pokorze, a trochę, by ukryć uśmieszek. A kiedy wstał, był już, tak jakby, rycerzem.

Jedno, co go nie ucieszyło, to że jeszcze nie zdążył jako rycerz nóg rozprostować, a już dostał po gębie. Strawik z Rijkiem ledwo go powstrzymali, przy czym Rijek puścił przez to Ringweida i nie podtrzymywany rycerz gruchnął na ziemię.

– Dobrze! – wyszeptał – I pamiętaj, że to ostatni cios, jaki ci ktoś wymierzył bezkarnie!
I zemdłał.

– Urchill i wszyscy ci pasowani zginęli – mruknął Borgerd. – Pomyślałem, że winniście to wiedzieć. Bo i was los taki może czekać, jeśli w szranki z Czarnym Rycerzem staniecie. Wierzę, żeście bitni, ale co innego po gościńcach karawany... tego... chronić, a co innego z rycerzem od małego do walki szkolonym się zmierzyć. Umiecie wy włócznie robić?

Kwoka przyznał, że nie umie.

– Takem myślał. I ani konia, ani zbroi porządnej nie macie. Jak chcecie walczyć?

– Zbroję kupię. Konia też znajdę.

Rycerz Borgerd z wrodzoną wprawą przeszedł nad kwestią znajdowania konia i zajął się innym, nie mniej pilnym problemem.

– Herbu jakiegoś potrzebujecie.

– Obejdzie się.

– Nie może to być! – jęknął, odzyskując na ten moment przytomność Ringweid, po czym zemdłał ponownie.

5.

Są takie chwile w życiu mężczyzny, że tylko stanąć i oniemić, a potem wałnąć pięścią w coś najbliższego. Może to być ściana domu, może to być drzewo, a może to być przechodzień.

O ile jednak domy i drzewa poradziłyby sobie jakoś z przejawami Buhajowego zakłopotania, o tyle przechodnie mieli z tym niejaki kłopot.

Pchnięci niezrozumiałą solidarnością mieszkańcy Miromiłowa, strażnicy kupieccy i zwyczajni gapie, którzy przybyli do grodu, by popatrzeć na turniej i coś przy okazji zarobić, stanęli naprzeciw żywiołu i spróbowali go powstrzymać.

Buhaj prawie nie zwracał na nich uwagi. Przewracał ich, roztrącał, łamał im to i owo, ale właściwie nie widział, z kim walczy, i mało go to obchodziło. Nie sięgnął nawet po miecz, a jedynie chwycił palik stanowiący podstawę jakiegoś straganiątka i używając go jak pałki, radził sobie raczej odruchowo niż przy pomocy przemyślanej strategii. Być może zdumiałoby go, że wciąż i wciąż nadpływają nowi przeciwnicy, że ktoś krzyczy: „Mało nas! Potrzeba więcej! Więcej!”. Może zauważyłby nawet, że cały ten harmider przyciągnął uwagę niebieskich oczu. Ich właścicielka wprawdzie nie wyszła na jeden z balkonów kamienicy przeznaczonej przez kasztelana dla szczególnie ważnych gości, ale wyglądała ciekawie przez okno i nadziwić się nie mogła temu potężnemu mężczyźnie w czerni, przy którym inni wyglądali jak zabawki.

– Och, mój drogi przyjacielu – szepnęła błękitna piękność. – Cóż to za zamieszki na ulicy? Czy to Czarny Rycerz odpiera ataki tłuszczy?

Wypłosz znalazł się obok niej natychmiast, zerknął przez okno i jednym spojrzeniem ocenił sytuację.

– To tylko jakiś barbarzyńca, miła Olianno. Jeśli chcesz, każę straży go usunąć.

– Och, barbarzyńca! – Śliczne usta wydeły się w wyrazie zadumy. – Och! Nie, kuzynie, niech walczy.

Jest w nim coś dumnego. Pospolicie dumnego, oczywiście, ale jednak. Chcę patrzeć.

Te słowa mogłyby zmienić nastawienie Buhaja. Nie usłyszał ich jednak.

Czuł się rozżalony i nieszczęśliwy. Cała ta wyprawa przyniosła ze sobą zmiany, na które okazał się kompletnie nieprzygotowany. Dostarczenie złotoskórej księżniczki jej ojcu wydawało się okazją do niezłego zarobku, tymczasem wpakowało ich w awanturę z księciem i jakimś czarnoksiężnikiem, zda się potężnym, bo wszyscy bledli na sam dźwięk jego imienia. Wszystko to jednak nie warte splunięcia, bywali z Kwoką w nie takich tarapatkach! Niestety, spotkanie Złotka odmieniło Kwokę. Stał się małomówny i skłonny do nierozsądnych zachowań. Czym innym jest spalić jakiś gródek po pijanemu, gdy się człowiekowi zdaje, że przechodzień uraził go spojrzeniem, czym innym gnać za jakąś dupą przez pół kraju. I to jednak zniósłby Buhaj, ba – znalazłby w tym powód do uciechy. Fakt jednak, że Kwoka najwyraźniej przejął się swoją nową rolą i zaczął zachowywać jak panisko, napawał Buhaja niepokojem. Najbardziej zaś ubodło go, że Kwoka zaczął się wywyższać, spoglądać na niego – Buhaja! – z góry.

– Powiedział, że nie podzieli się ze mną łupem! – mamrotał, śledząc błękitną – Przyjaciel! Druh!

Kompan! Ścierwo!

Odgadł wreszcie, że panna kieruje się do dużego kamiennego pałacu. Wyprzedził ją więc i ustawił się na jej drodze tak, że musiała przejść obok niego, prawie ocierając się o solidne Buhajowe ciało. Przyjął

swoją ulubioną postawę – swobodnego barbarzyńcy. Wypreżył pierś i uśmiechnął się w sposób, który zawsze działał na kobiety – lekko, zuchwale, z drwiną w kącikach ust. A kiedy błękitna zbliżyła się do niego, spoznał jej w oczy z tą siłą i łobuzerską beczelnością, od których kobiety mdlały.

Gdyby tu był Kwoka, powiedziałaby jej jeszcze, że w tym twarzieli kryje się wrażliwy mężczyzna, pomyślał z zalem. To zawsze działało. Kobiety były gotowe na każde wyzwanie, byle dotrzeć do jego nieistniejących pokładów wrażliwości.

Tyle że tym razem nie było przy nim Kwoki.

Odegnął złe myśli i zogniskował cały swój czar w tym jednym spojrzeniu, mającym zwalić z nóg błękitną pannę.

A ona minęła go jakby nigdy nic! Niby na niego patrzyła, ale jakby nie zauważała.

Stał oniemiały dobrą chwilę, nim zrozumiał.

Był dla niej nikim, częścią bezimiennego tłumu, człowiekiem z pospólstwa, przy którym nawet towarzyszący jej wypłosz wyglądał jak księżę.

Potraktowała go tak, jak zaczynał traktować go Kwoka.

Biała błyskawica rozbłysła w jego głowie i przez moment nie widział nic. To była właśnie ta chwila od walenia w cokolwiek.

– Nie jest sam – odkrył wypłosz, wskazując Oliannie dwóch niegodziwie wyglądających mężczyzn uwijających się za Buhajem. – Tamci dwaj osłaniają jego plecy.

– Och – westchnęła. – Cóż za rozczarowanie! A ja myślałam, że on walczy sam przeciw wszystkim!

Przez moment wydawało się to interesujące.

Pozwoliła się odprowadzić od okna.

Buhaj, który pojęcia nie miał, iż ktokolwiek mu pomaga¹, oprzytomniał na tyle, by rozumieć, że lada moment w całą sprawę wmisza się straż miejska i radosna bójka, jaką wszczął, zmieni się w coś znacznie poważniejszego. Powoli zaczął więc przebijać się przez tłum w stronę wąskiej, ciemnej uliczki, kuszącej tym bardziej, że pustej. Dotarł do niej, traktując wszystkich po drodze tak, jak jego zdaniem na to zasługiwali, ukrył się w cieniu i odetchnął głęboko.

Bójka pozwoliła mu ostudzić nieco gniew, nie zmieniła jednak przekonania, że musi rozmówić się z Kwoką. Jeśli tak ma być dalej, ich drogi się rozejdą. Nie pozwoli się traktować jak... jak... Jak teraz! Starcie za jego plecami żyło już własnym życiem. Mało kto pamiętał, od czego się zaczęło. Walczący skupiali się na najbliższym przeciwniku. Wreszcie, jak przewidywał Buhaj, przybyła straż i rozgoniła całe to towarzystwo.

Wtedy jednak on był już na polance, gdzie obozowali z Kwoką i rycerzami.

Zastał swego przyjaciela przymierzającego różnobarwną zbroję.

6.

– Nie może to być! – szeptał półprzytomny Ringweid, patrząc na efekt zakupów Kwoki.

Także Borgerd kręcił głową.

– Skądżeście tego nabrali?

– Trochę stąd, trochę stamtąd – mruknął Kwoka, dla odmiany przyglądając się swojej zbroi z ukontentowaniem. Miał na sobie barwiony na zielono, pokryty jak należy żelaznymi kółkami, sięgający kolan kaftan, spod którego wystawały fantazyjnie żółte nogawice górujące z kolei nad czerwonymi trzewikami. Dla odmiany rękawice Kwoka zdobył szare. Wszystkie części jego stroju najlepsze czasy miały już za sobą. Całość wieńczył stożkowy hełm z prostym nosalem, pokrytym niegdyś imitującą złoto farbą. Kwoka gotów był dokupić do tego jeszcze karmazynowy płócienny płaszcz, na tę ekstrawagancję zabrakło mu jednak pieniędzy.

– Wygląda, jakbyście każdy kupowali od kogo innego – pokręcił z dezaprobatą głową Borgerd.

– Bo i tak było! – odparł Kwoka, przyglądając się swemu hełmowi i kombinując, czy nie dało by się przyczepić do niego jakiego kolorowego pióra.

– To niedobrze. Zbroja powinna być dopasowana, a nie poskładana z byle czego.

– To i jest dopasowana! Ja mam – Kwoka zawahał się – bardzo oryginalne wymiary. Żadna cała nie pasowała. A tak poskładałem – kaftan od jednego kupca, nogawice od innego i wyszło. Coś nie tak? Moim zdaniem wyglądam świetnie.

Nikt nie odważył się zaprotestować, póki na arenę zdarzeń nie wkroczył lekko poobijany Buhaj.

– Kwoka! – ryknął, aż okoliczne konie zarżały – Coś ty z siebie, kurwa, zrobił?!

– Teraz jestem rycerz! – oznajmił dumnie Kwoka, biorąc się pod boki.
Buhaj pokonał chęć, by odwrócić się i odejść. Podeszedł do Kwoki, chwycił go za zielonkawy kaftan i odciągnął na bok.
– Czyś ty kompletnie ochujał? – wycharczał.
Kwoka wyjaśnił mu pokrótce sytuację.
Buhaj aż usiadł z wrażenia.
– Czyli że jesteś rycerz, tak? – upewnił się.
– No!
– No to cześć. Bywaj, rycerzu, kurwa, Kwoko. Nie ma dla mnie miejsca przy jaśnie panu! Niech ci się, kurwa, darzy!
– Ty, Buhaj! – zaniepokoił się Kwoka. – Co ty? Dokąd?
– Nie po drodze nam, Kwoka. Ja jestem zwykły najmita, ty już prawdziwy rycerz! Łupem się nie chcesz ze mną dzielić! – wyrzucił z siebie wszystkie żale Buhaj.
Kwoka zbaraniał.
– Jakim łupem?
– Jakim łupem! – Buhaj aż wznosił oczy ku niebu, przywołując je na świadka wiarołomstwa. – Jakim łupem! Sam mówiłeś, zasańcu, że jak dorwiemy czarodzieja, to się łupem nie podzielisz!
– Buhaj – westchnął Kwoka, który zaczynał całą sprawę rozumieć. – No przecież jedyny łup to będzie moja Złotka. Jakże nią miałbym się z tobą dzielić?
– A weź sobie ją, rycerzyku, i.... – zawołał rozgorączkowany Buhaj i urwał. – Tylko o to ci chodziło? O babę?
– O Złotkę – poprawił Kwoka.
Pomilczeli trochę, po czym każdy zaklął szpetnie a identycznie. Nie mieli w zwyczaju padać sobie w ramiona, więc tylko posłali sobie kose spojrzenia.
– I będziesz się z Czarniawym po rycersku bić? – upewnił się Buhaj. – A kłątwa?
– Jak już ja będę Czarniawy, ty zabijesz maga – wyjaśnił mu Kwoka. – I nie przejmuj się, tak do końca to ja nie zgłupiałem. Bić to ja się z nim będę po naszymu.
Coś na kształt uśmiechu pojawiło się na twarzy Buhaja.
– A konia bojowego masz?
– Miałem właśnie skombinować.
– Ja skombinuję. Ty się idź na turniej zapisz. Rycerzu.
Mrugnął do niego i odszedł. Kwoka odprowadzał go niespokojnym spojrzeniem. Niby wszystko sobie wyjaśnili, czuł jednak, że ciągle coś było nie tak. Westchnął i ruszył się zapisać na turniej u kasztelańskiego sekretarza.

Stary, pomarszczony i łysy Sweto przyglądał mu się podejrzliwie.
– Powtórzcie, kim jesteście i czego chcecie – zażądał.
– Jestem Wielobarwnym Rycerzem, imienia wam nie podam, bo poprzysiągłem, że go nie zdradzę, póki nie spełnię, cóżem przyrzekł – wydeklamował przygotowaną bajeczkę Kwoka. – Stanę w zielonej drużynie księcia Urloda. Nie służę żadnemu panu, jeno – tu się zakrztusił na myśl o tym, co powie Baba Jaga, jak się o swym nowym imieniu dowie – Białej Wróżce z Borsuczej Kniei.
– Białej Wróżce, he? Nie słyszałem.
– Niedawno dopiero przybyła w te strony, by walczyć z nieprawością i nieść nadzieję sprawiedliwym – odparł dziarsko Kwoka.
– Dziwne to wszystko – głądził sekretarz. – Nie podoba mi się. Sam decyzji nie podejmę, księżę musi zdecydować, czy chce takiego obrońcy. Poślijcie swego giermka po jego człowieka, pana Hugorleta Czarną Pięść. On was oceni.
Giermków miał Wielobarwny Rycerz dwóch – jednego jasno-, a drugiego rudowłosego. Spojrzeli po sobie i pognali obaj, by po kilku zwrotekach przyprowadzić możnego rycerza, który wyglądał dokładnie tak, jak się nazywał. Oceniał kandydata na obrońcę zielonego proporca jednym krytycznym spojrzeniem i choć wcale mu się Wielobarwny Rycerz nie spodobał, wzruszył ramionami, splunął i skinął głową.
– Bierzemy go. Choć nawet i z nim będziemy mieli dwóch za mało. Nikt nie chce stawać przeciw Czarnemu Rycerzowi.
– Czarniawemu! – wyrwało się Wielobarwnemu Rycerzowi.
Czarna Pięść spojrział na niego, oczekując wyjaśnień. Nawet Sweto wyglądał na zainteresowanego.
– Znałem prawdziwego Czarnego... Rycerza – odparł świeżo upieczony wojownik księcia Urloda. – Ten

jest przy nim najwyżej Czarniawy.

– Ano, wiedziałem, że musicie być pomyleni, jak się do naszej drużyny zgłaszacie – westchnął Czarna Pięść i odszedł.

Wielobarwny Rycerz wygiął się w karykaturze dwornego ukłonu, uśmiechnął szyderczo do sekretarza i wrócił do swoich.

Wieczorem przyszedł po niego Buhaj i zaprowadził na skraj lasu, gdzie w ukryciu czekał piękny, śnieżnobiały rumak.

– Trochę się opierał, aleśmy sobie porozmawiali i teraz mnie lubi, prawda? – Buhaj mrugnął i koń cofnął się przestraszony. – Tak, myślę, że cię nie zawiedzie.

– Znaczoney – zauważył Kwoka. – I trochę łatwy do rozpoznania.

– Dlatego po ciebie przyszedłem. Domalujemy mu łaty, a potem się przejedziesz, żeby ciebie też polubił.

– Łaty? – Usta Kwoki zadrżały w zapowiedzi uśmiechu.

– Mam trochę brązowego, trochę ciemnoczerwonego barwnika – odparł Buhaj. – Pokombinujemy.

7.

Rankiem następnego dnia stanęło naprzeciwko siebie siedmiu rycerzy z jednej i sześciu z drugiej strony. Czerwoną chorągiew prowadził Czarny Rycerz, pod zieloną zaś stanął Wielobarwny Rycerz na Wielobarwnym Koniu.

Rycerzy czerwonej chorągwi miało być pierwotnie ośmiu, niestety, w nocy zapodział się gdzieś koń jednego z nich, piękny bojowy rumak o imieniu Arwentos, duma stajni Pułkownika Południa, sprzedany ponoć za dwadzieścia grzywien. Powiadano, że nie było mu równych na świecie i że dla swego pana zrobiłby wszystko.

To ostatnie z pewnością było prawdą. Upokarzająco upstrokacony Arwentos modlił się ze wszystkich sił swej rumaczej duszy, by tylko nie doszło do kolejnej jego rozmowy z Buhajem. Gotów był nawet sam wygrać całą bitwę.

Tymczasem Borgerd, który nic nie wiedział o końskim postanowieniu, udzielał Kwoce ostatnich rad.

– Lepszą on ma zbroję od waszej, bo i płaty pod tą czarną szatką, i hełm solidny twarz mu całą chroni.

Jeno że walcowaty, to jakby wam się udało go w łeb walić, to mu się tak powygina, że może i głowę uszkodzić. No i widzi w nim gorzej, to go możecie od boku zająć. Albo i od tyłu – dodał ciszej, żeby wsparty o niego rycerz „nie może być” Ringweid nie usłyszał. – Umie włócznią robić, widać, jak ją trzyma pod pachą, taka nowa moda, ale bardzo skuteczna. Dajcie mu nadzieję ze dwóch, to może ją przy którym zgubi. A z mieczem to wam już lepiej pójdzie. Ja wam radzę uderzać na niego od góry, bo ten jego hełm może tak dobrze głowy nie chronić. Ale zrobicie, jak chcecie.

Kwoka skinął głową i rycerze, podpierając się wzajemnie, odeszli. Ringweid coś tam szeptał Borgerdowi. Kwoka nie zdziwił się, gdy dobiegły go słowa: „nie godzi się”.

Zagrały trąby na znak, że kasztelan i księżęta weszli na trybuny. Potem herold puścił białą chustę i zaczęło się.

„Zdaj się na konia – poradził mu Buhaj. – To bydlę więcej razy było w bitwach niż my obaj razem wzięci. Będzie wiedział, co ma robić.”

Zdaniem Kwoki cholerny koń absolutnie nie wiedział, co ma robić, zamiast bowiem ustawić się na boku i odczekać, aż się wszyscy powybijają, poniósł swego pana w sam środek ciżby, prosto ku śmierci.

Kwoka cisnął przeszkadzającą mu tylko włócznią w najbliższego przeciwnika, odrzucił tarczę, którą i tak nie umiał się posługiwać w walce konnej, i sięgnął po miecz.

Zupełnie mu się nie przydał. Nie miał jak użyć broni, bo jego rumak wpadł w szal. Wznosząc się na tylnych nogach, kopał wściekle tak innych rycerzy, jak i ich konie, wierzgając i gryząc. Kwoka poddał się wreszcie i pozwolił mu działać, skupiając się głównie na tym, by nie wypaść z siodła.

Kiedy odpowiednio zmotywowany przez Buhaję koń wysadzał z siodła rycerzy spod czerwonej chorągwi, Czarny Rycerz radził sobie niezgorzej z kompanami z drużyny zielonej.

I stało się tak, jak się stać musiało – zostało ich tylko dwóch, Czarny i Pstrokaty naprzeciw siebie.

– Zdaj się na mnie! – zawołał Arwentos. – Udam, że chcę go skopać z siodła, a naprawdę ugryzę.

Zadziała, zobaczysz!

Niestety, dla Kwoki zabrzmiało to jak zwyczajne końskie parsknięcie.

Czarny Rycerz ukłonił się swemu przeciwnikowi, spiął konia ostrogami i ruszył na Kwokę.

Arwentos rzucił się ku niemu bez żadnych zachęt.

Odchyłę się w siodle, uchylę przed ciosem i uderzę z obrotu, wymyślił Kwoka, zapominając, że ma na sobie zbroję znacznie cięższą od zwykłej skórzanej kurty, jaką nosił na co dzień.

I kiedy już się odchylił, stracił równowagę i spadł.

Zaskoczony Arwentos zapomniał o taktyce i przebiegł obok Czarnego Rycerza w galopie.

Ten zaś zatrzymał się i obserwował, jak Kwoka gramoli się niezgrabnie, przeklinając wściekle wszystkich rycerzy, ich głupie zbroje i debilne techniki walki.

– Mam cię w swojej mocy – rzekł Czarny Rycerz. – Poddaj się.

– Pierdol się, Czarniawy – warknął Kwoka na tyle głośno, by damy poczuły wzburzenie.

– Czarniawy? – zdumiał się rycerz. – A, to miała być obelga! No nic, zakończymy to więc krwawiej.

Zsiadł z konia i wyjął miecz.

– Stawaj! – rzucił.

Kwoka potrząsnął z niedowierzaniem głową. A jednak zsiadł z konia! Co za dureń!

Ruszył na Czarniawego, wymachując niby to groźnie mieczem, by odwrócić jego uwagę od buzdyganu, trzymanego w lewej ręce. Czarniawy nie był jednak głupi, udawany cios mieczem sparował, uderzenie buzdyganu przyjął zaś na tarczę.

Wtedy Kwoka kopnął go z całej siły na wysokości brzucha i obalił na ziemię.

– Ciężkie zbroje, ciężkie kłopoty! – zadrwił, przykładając ostrze do odsłoniętego fragmentu szyi Czarniawego.

– Nie! – zastopował go okrzyk zza pleców. – Powstrzymaj się!

Odwrócił głowę, by ujrzeć, jak kuścika ku niemu dwóch wspartych o siebie rycerzy.

– To niegodne! – zawołał z trybuny książę Aroder, do którego należała czerwona chorągiew. – Trzech na jednego!

– Jakich trzech? – wzruszył ramionami książę Urolod. – Tych dwóch połamańców tworzy razem ledwie jednego rycerza. I jako jeden się zgłosili, a kasztelan w sprawiedliwości swojej przyjął ich zgłoszenie jako wyrównujące szanse. Bo wyście, panie, mieli jednego więcej.

– Ale to było na samym początku bitwy!

– Na sam początek nie zdążyli. Kuścikali, a to spowalnia.

Borgerd i Ringweid dotarli tymczasem do Kwoki.

– Oddaj nam miecz! – zażądał Ringweid. – Nam się podda Czar... Czarniawy i nie na ciebie spadnie kłątwa.

– On mnie pokonał! – zaprotestował Czarny Rycerz, widząc, jak Kwoka oddaje rękojeść ciągle opartego o jego gardło miecza. – Tak się nie godzi!

Ringweid zadrżał, słysząc te słowa, i omal nie doszło do tragedii. Na szczęście Borgerd trzymał miecz drugą ręką.

– On was pokonał, ale to my trzymamy miecz przy waszym gardle.

Czarny Rycerz przemyślał swoją sytuację.

– Niech tam – mruknął. – Ale to będzie trochę dziwne, nie? Obaj zostanieie Czarnym Rycerzem?

Ringweid i Borgerd spojrzeli po sobie.

– Mamy jeszcze pojedynek do rozstrzygnięcia – przypomniał Ringweid.

– I zabić mnie musicie, bo tajemnicę waszą znam – dodał Borgerd.

– Ano prawda. I zabić was muszę. Ale to później. Najpierw czynimy, cośmy przyrzekli czynić.

– Czyńmy! – zgodził się Borgerd, myśląc, iż dzięki temu nie będą winni Kwoce żadnych pieniędzy. – Poddajecie się zatem?

– A co mi tam – westchnął Czarny Rycerz. – Poddaję się tym oto dwóm szlachetnym rycerzom, co walczyli jak jeden! – zawołał.

– Dobrze! – sapnęli równocześnie i zwrócili się ku Kwoce.

– Wypełniło się – rzekł Ringweid. – Ruszajcie teraz, droga stoi przed wami...

– ... otworem – dokończył za niego Borgerd. – Jakośmy...

– ... przyrzekli.

– Co wy tak jeden przez drugiego? – zainteresował się Kwoka.

– Kłątwa zaczyna działać – wyjaśnił mu rycerz, który nie był już ani Czarny, ani Czarniawy. – Nie wiem, jak to się dzieje, ale spłynęła na obu po równo. Pewnie są teraz jakby jednym rycerzem.

Kwoka skinął głową, jakby cokolwiek z tego zrozumiał, i ruszył ku oczekującemu go Buhajowi.

Za nim poczłapał nieco zawstydzony Arwentos.

Opuścili gród jak mogli najszybciej, z obawy, że gdy się mag Vidoczek dowie o niezwykłym wyniku turnieju, może im spłatać jakiegoś psikus. Jechali długo w milczeniu, aż wreszcie Kwoka zapytał z wysokości swego nowego bojowego rumaka, o co właściwie Buhajowi chodzi.

– Takie tam pieprzenie – burknął Buhaj. – Jak ty teraz jesteś rycerz, to co ja jestem? Giermek? Sługa?

– Tym się przejmujesz? – nie uwierzył Kwoka.

– Ano tym – skłamał Buhaj, myśląc o błękitnej pannie, na której nie zrobił najmniejszego wrażenia.

– Dość tego – warknął Kwoka po kilku kolejnych zwrotkach milczenia. Zsiadł z konia i zmusił do tego samego Buhaja. – Klękaj!

– Kwoka, widzisz, co się dzieje! Już ci odbija!

– Klękaj, idioto, pasuję cię na rycerza!

– Ty mnie pasujesz?

– Ja. Jak jakiś tam kretyn podczas jakiejś bitwy, w której wszyscy zginęli. Klękaj!

I ogłupiały Buhaj, sam nie wierząc w to, co robi, ukląkł. A gdy Kwoka oznajmił mu, że już po wszystkim, że już z niego rycerz, wstał i aż mu pociemniało przed oczami, gdy dostał w twarz ciężką, rycerską rękawicą.

Zareagował po swojemu – odruchowo.

– Tak właśnie ma być – stęknął czas jakiś później Kwoka, plując krwią. – To był ostatni cios, jaki przyjąłeś bez... eee... No, ostatni taki cios.

Buhaj, który leżał zwinięty po zdradzieckim uderzeniu w żołądek, skinął niemrawo głową.

– To znaczy, że teraz rycerz? – upewnił się dwie zwrotki później.

– Obajmy rycerze!

– Prawdziwi?

– Najprawdziwsi!

– To dobrze. To teraz musi mnie zauważyć.

Poleżeli jeszcze trochę pod niebem i pod zdumionym spojrzeniem Arwentosa, który nie widział jeszcze, by jacykolwiek rycerze zachowywali się w ten sposób. Aż wreszcie Kwoka jęcząc podniósł się z ziemi i pełen jak najgorszych przeczuć zapytał:

– Kto?

¹ To może wydawać się dziwne i niespodziane. Jeśli jednak redakcja pozwoli na kontynuowanie serialu, pewne rzeczy – jak niespodziewani pomocnicy Buhaja czy tajemnica nie-wiewiórczego herbu rycerza Ringweida – znajdą wyjaśnienie w przyszłości. Na razie poufam się faktem, że jedynie ja znam rozwiązania wszystkich zagadek.